

Distortion

Cezary
Zbierzchowski
Distortion



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Cezary Zbierchowski
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover illustration by Rafał Kosik and zabelin (via iStock)
Copyright © 2019 for the endpaper by Rafał Kosik
Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce i wyklejka: Rafał Kosik
Na okładce wykorzystano fragment grafiki: zabelin (via iStock)
Na wyklejce wykorzystano zdjęcia: Angie Johnston and Mike Cook (via Pixabay)
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-06-9

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

*Rafałowi i Weronice,
moim ukochanym dzieciom*

*Nad ranem, w szarym bezruchu,
wydało mu się, że już nie żyje,
że ktoś go podmienił
między jednym a drugim uderzeniem zegara.
Michał Cetnarowski, Pustynia rośnie*

*Uwielbiam to miejsce nocą. Gwiazdy...
nie ma w nich dobra ani zła.
One po prostu tam są.
sierżant Elias Grodin, Pluton (reż. Oliver Stone)*

Prolog

Wtorek, 12 lipca, godz. 22.30

**Wysunięta Placówka Distortion, pustynia Saladh,
południowy Remark**

Muszę to powiedzieć, drogi synku: nie spotkamy się więcej. Nie wrócę do wielkiego miasta, by odnaleźć cię w ludzkim mrowisku. Nie zrobimy tylu rzeczy, które ojcowie i synowie robią zwykle razem. Nie naprawimy zepsutego kranu, nie obejrzymy filmu o kosmosie i nie pójdziemy na spacer po lesie. Nie opowiesz mi o swojej pierwszej bójce i pierwszej miłości. Nie rozbijemy namiotu nad jeziorem ani nie rozpalimy ogniska. Zostanę tutaj, na tej parszywej pustyni, która oddycha ciężko po gorącym dniu.

Wszystko się rozpada, mój kochany, świat od dawna nie jest już całością. Wszystko istnieje osobno: przedmioty, zjawiska i ludzie, jak kawałki różnych układanek. Niemal mechanicznie rejestruję ciepły wiatr owiewający mi twarz, przesypujące się ziarna żwiru i łopot flagi na maszcie. Czuję zapach tej spalonej ziemi wpełzający pod ceramiczną kamizelkę, czuję ciężki od upału zylonowy hełm i stygnące bagno w moich butach.

Stoimy tego wieczoru na warcie – twój tata i czterech milczących mężczyzn, pilnujących głównej bramy do bazy Distortion, pilnujących siebie nawzajem i błękitnego piekła pod swoimi stopami; potwór, ukryty pod ziemią, obserwuje nas cierpliwie jak doświadczony drapieżnik. Poprzednia zmiana zesłała o dwudziestej drugiej, zmęczona czekaniem na atak partyzantów albo na freniczny ogień. Jestem dowódcą, mój mały, więc zajęłem miejsce dowódcy pod drewnianym dachem oklejonym folią, z lewej strony bramy.

Mamy tu wielki i szybkostrzelny karabin. Naszego MUG-a kaliber 7,62 mm obsługuje szeregowy Gaus, barczysty chłopak z Bilden. Pali papierosa i stuka obcasem w kawałek betonu, który odłupał z podłogi miniaturowego bunkra. Miarowy ruch wyraźnie go uspokaja, tak jak ciebie, gdy nie mogłeś zasnąć.

Po przeciwnej stronie drogi w bliźniaczym gnieździe siedzi starszy szeregowy Puric i starszy szeregowy Dafny, na które go wołamy Rozwielitka. Wiem, kochany, że to głupia ksywka, ale jego nazwisko skojarzyło nam się z dafnią. Ostatni z drużyny, starszy szeregowy Ballard, znajduje się znacznie wyżej, w szoferce ciężarówki Kaukaz, zaparkowanej w poprzek bramy. Kilkunastotonowy potwór jest fajniejszy nawet od twoich zabawek. Wypełniliśmy go po brzegi piachem, jak dzieciaki w piaskownicy, służy nam za wrota bazy. Pomiędzy kaukazem a ponaddwumetrowym murem zostawiamy tylko szparę, przez którą może się przecisnąć człowiek.

Albo to, co z człowieka pozostało.

Reflektory na narożnych masztach omiatają okolicę ostrym światłem, wyłuskując z mroku zapory na drodze. Trzeba kluczyć między nimi, kiedy ruszamy na patrol. I trzeba uważać, żeby nie pomylić trasy, bo saperzy zaminowali prawie cały teren, na wypadek szturm partyzantów. Droga wiję się pomiędzy niewielkimi pagórkami i trzy kilome-

try dalej dochodzi do zniszczonej autostrady prowadzącej z Harmanu do Fizzy.

Myszę o tym miejscu i o swoich ludziach. Jesteśmy na misji od siedmiu miesięcy, spędziliśmy razem setki godzin. Przychodzili do mnie i mówili o swoich sprawach, a ja robiłem, co mogłem, by zasłużyć na ich zaufanie. I wiedziałem od początku, że muszę ich poznać, bo od tego będzie kiedyś zależało nasze życie. Ale teraz otacza nas cisza. Szaleństwo, które kryje się pod naszymi stopami, rozlewa się po całej bazie i zamyka nam usta.

Zadawaliśmy już dziwne pytania, kłóciliśmy się i próbowaliśmy walczyć. A teraz boimy się jak skurwysyn i nie wstydzę się tego powiedzieć: spokój jest grą, w którą gramy, żeby nie rzucić karabinów i nie uciec na pustynię.

— Brama, zgłóście się — rozlega się w słuchawce głos Janga, oficera dyżurnego.

— Kapral Trent — wołam w odpowiedzi. — Słucham, panie poruczniku!

— Jadą do was dwa skorpiony z trzeciego plutonu. Przepuście ich szybko, wiozą rannych dezertów. Zwiad przygotowuje drona, który zaraz przeleci nad wami.

— Zrozumiałem, panie poruczniku. Bez odbioru.

Wychodzę z bunkra i przecieram swoje gogle z pustynnego pyłu.

— Ballard!

— Tak, Markus?!

— Melduj, co widzisz na drodze.

Chris przykłada lornetkę do oczu i lustruje otoczenie, używając nocnej wizji. Potrzebuję jego opanowania i uporu, które zazwyczaj udzielają się reszcie.

— Dwa skorpiony wyjechały właśnie zza prawego Sutka.

— Tak nazywamy dwa bliźniacze wzgórza na wprost. — Będą tutaj za około trzy minuty.

— Dobrze, odpalaj samochód i czekaj na mój znak.

— Tak jest!

Kiwam na Purica i wyjaśniam krótko sytuację. Nad naszymi głowami przelatuje bezzałogowy sokół i znika w ciemnościach nocy. Maszerujemy w kierunku pierwszej zapory i czekamy na pojawienie się samochodów. Gaus i Rozwielitka siedzą w bunkrach i trzymają palce na kabłąkach spustów swoich MUG-ów. Po chwili widać światła pozycyjne, na których jeżdżą kierowcy SSARR, i czerwone „pipacze” na masztach. Nie ma wątpliwości, że to nasi, ale i tak musimy ich sprawdzić. Pierwszy skorpion hamuje przed zaporą, wyrzucając w górę tuman kurzu. Z szoferki wychyla się zmęczony sierżant Sewerin.

— Panowie, przepuszczajcie. Wieziemy ciężko rannych.
— Puric świeci do wnętrza LED-ową latarką. — Kurwa, człowieku, nie po oczach!

Zaglądamy do drugiego wozu, a tam, na tylnym siedzeniu, leżą trzy spalone kukły, trzech poparzeni żołnierze. Wyglądają tak, że wzrok sam ucieka w ziemię. Strzelec na dachu opiera głowę o karabin i wydaje się nieobecny. Pod zapyłonymi szmatami rozpoznaję Lukasa. Chłopak się załamał, jest jak wizytówka naszego oddziału.

Wydaję Ballardowi rozkaz przez radio. Opancerzony kaukaz z rykiem odslania wjazd do bazy i patrol mija nas w pośpiechu, żeby jak najszybciej dotrzeć do punktu szpitalnego. Tam czekają już na nich kapitan Sauber i chorąży Gilde. Na wszelki wypadek trzymają pod stołem plastikowe worki na zwłoki. W chłodni, z tego co pamiętam, leży sześciu innych uciekinierów oraz siódmy, rozerwany na kawałki.

— I co ty na to? — pytam Purica, żeby przerwać ciszę.

— Na nas też przyjdzie kolej. Wolałbym zginąć w walce niż w ten sposób.

Wracamy na swoje stanowiska. Idziemy wolno, bo obraz poparzonych ludzi przesłania nam wszystko. Sięgam do kieszeni po zgniecioną paczkę papierosów, gdy rozlega się gło-

śny okrzyk Gausa. Z malejącej szpary pomiędzy ciężarówką a murem wybiega jakiś żołnierz i pędzi prosto na nas, machając karabinem. Widocznie skorzystał z zamieszania podczas przejazdu patrolu i zakradł się do wyjścia. Postanowił uciec z bazy pieszo, przebijając się przez wartowników. Jeśli mogę tak się wyrazić, bardzo ryzykowny plan.

Mierzymy do niego z MBS-ów, ale pędzi dalej z głową wysuniętą do przodu. Ma na nosie okulary, na głowie przekrzywiony hełm. To kapral Norman z naszego plutonu, o którym zawsze myślałem, że na pewno zwariuje ostatni. „Wszystko płynie – jak pisał Heraklit – i nic nie pozostaje takie samo”. Zaraz zastrzelimy Normana albo on postrzeli nas, i będzie to kolejna sprawa do kolekcji. Kolejny z serii incydentów, nad którymi głowi się kapitan Beck.

Przykładam broń do ramienia, zgrywam przyrządy celownicze i czuję, że nie potrafię zabić swojego przyjaciela.

— Zatrzymaj się, sukinsynu! — krzyczy nieregulamino-wo Puric.

— Norman, stój, bo strzelam!

Ale dla Larsa Normana to, że go zastrzelimy, jest wyraźnie mniejszym złem niż pozostanie w bazie. Nie teraz, gdy dzieje się to, co się dzieje. Naciera na nas w pełnym biegu, więc rozstępujemy się na boki i Puric wystawia delikatnie nogę, podcinając go fachowo. W cywilu był piłkarzem w okręgowej lidze i doświadczenie z boiska daje o sobie znać. Kapral upada jak długi, upuszcza broń i koziółkuje po piasku, uderzając w najbliższą zaporę. Kiedy próbuje się pozbierać, na jego plecach łąduje pancerna pięść Gausa, wyciskając oddech z płuc. Vim Gaus jest zawsze tam, gdzie można komuś przypierdolić, i załatwia szybko takie sprawy.

Okrażamy leżącego jak wilki. Gaus podnosi karabin, hełm i pęknięte okulary, a Puric przewraca delikwenta na plecy i świeci latarką. Z rozbitego czoła płynie krew, twarz wygląda jak po tarzaniu się w żuźlu. Norman zasłania się przed światłem podrapanymi dłońmi. Oczy, wytrzeszczone z przerażenia,

nie mogą się skupić na żadnym obiekcie. Trzęsie go adrenalina, aż szcękają zęby. Ma kłopoty z mówieniem i coraz mniej przypomina gościa, z którym lubił pogadać w kantine o starych filmach. Całkowita rozsyпка.

— Odjechało ci, Norman? — pyta rzeczowo Puric. — Chciałeś zginąć?

— Wypuście mnie stąd, wypuście... Ja nie chcę być martwy. — Oszalały kapral skamle jak pies. — Wszyscy tam umrzemy! — Wyciąga rękę w stronę bazy.

— Zamknij się, Lars! — Uderzam go otwartą dłonią w twarz i odwracam się do bramy. — Ballard! Połącz się z sierżantem, niech go stąd zabierze. I nikomu ani słowa, panowie, nie potrzebujemy większej paniki.

Część pierwsza
Wejście

Rozdział pierwszy

**Środa, 6 stycznia, godz. 20.40, pół roku wcześniej
Granica rammańsko-remarska, okolice Tironu,
Republika Rammy**

Kochany synku, jestem już bardzo daleko, chociaż to zaledwie sześćset kilometrów od twojego domu. Tak jak wszyscy, zastanawiam się ciągle, czy to jest bilet w jedną stronę. Prześladuje mnie myśl, że nie zdążę naprawić swoich błędów. Piszę więc do ciebie i będę pisał w każdej wolnej chwili. Jedziemy w potężnym konwoju, który zbliża się do granicy z Remarkiem, a ja stukam zawzięcie w swój komunikator. Głową co chwila uderzam o burą plandekę i rozcieram dłonie, bo nie jest najcieplej, kochany. Na początek napiszę ci o tym, jak doszło do tego wyjazdu.

O dziesiątej rano trzydziestego grudnia żandarmeria doręczyła mi wezwanie do Sił Stabilizacyjnych. Kiedy przyjechałem pożegnać się z rodzicami, twoja babcia, której nie poznałeś, zaczęła płakać i kręcić się w kółko, dziadek udzielał ostatnich wskazówek, a ja musiałem wracać, spakować się migiem i załatwić parę spraw. Zawiozłem Kraksa, mojego wilczura, do ciotki Belli. Myślę, że polubiłbyś ciotkę,

jest naprawdę sympatyczna. Pożegnałem się z nią i z wujem, zwróciłem kuzynowi Erniemu kilka stów, które byłem mu winny, i odebrałem odkurzac z naprawy. Na ekspres z Miasta Ramma do Bilden zdążyłem w ostatnim momencie. Biegłem z wywieszonym językiem jak jakiś zwierzak z kreskówki, wyobrażasz to sobie? Pociąg odjeżdżał o piątej trzydziści w sylwestrowy poranek. Kiedyś zobaczysz, synku, że ludzie lubią się bawić. Na peronie i w przedziałach panował świąteczny nastrój, a ja, siedząc w pociągu, odwoływałem udział w noworocznej imprezie.

Niedaleko Bilden, w bazie Syrakus, odbywało się zgrupowanie Piątego Kontyngentu SSARR. Zanim wszedłem na komisję, młody porucznik przeprosił mnie za ekspresowe tempo mobilizacji. Jakiś kapral złamał rękę na ćwiczeniach i musieli znaleźć zamiennika. Służyłem w Wojskach Obrony Terytorialnej i zgłosiłem gotowość do misji. Wszystkie papiery mieli u siebie od roku, a więc padło na mnie, mój mały. Cholernego trzydziestego grudnia.

Potem były badania i tygodniowe szkolenie, a jeszcze później przydział do Pierwszego Pułku. Inni ćwiczyli tu od miesiąca, więc czułem się trochę nieswojo. Jakbym wyprowadził się do innego miasta i zmienił szkołę. Przez te kilka dni poznałem zaledwie paru chłopaków. Cześć, cześć! Skąd jesteś, stary? I niewiele więcej. Przeczytałem rozkaz wręczony przez chorążego: Trzeci Batalion Piechoty, Dziewiąta Kompania, Pluton Szybkiego Reagowania, Drużyna Trzy. Przydzielono mi czterech ludzi – Purica, Gausa, Dafnego i Rota, ostatniego dnia szkolenia zamieniłem z nimi kilka słów. Musiałem to szybko nadrobić.

Sierżant Gola, który objął nasz pluton, wydaje się rozsądnym gościem. Koledzy mówią o nim: „Mały”, bo ma metr sześćdziesiąt parę wzrostu, ale ludzie słuchają go bez zbędnych dyskusji. Może sprawia to złamany nos albo szramy na policzkach po walkach bokserskich. W każdym razie budzi zaufanie i dobrze mieć takiego faceta za sobą.

Pamiętaj, synku, że mężczyzny nie poznaje się po oczach ani po uścisku dłoni. Poznaje się go po tym, czy mówi prawdę i dotrzymuje obietnic.

Sierżant dosiadł się do nas na postoju i opowiada ciekawe historie. Mówi, że brał udział w wyzwaniu Remarku, a potem w pierwszej i drugiej misji stabilizacyjnej, na której został ranny i odesłany do kraju. Teraz jedzie trzeci raz i nie ma złudzeń, że to brudna wojna.

— Uważajcie na kleszcze. To jest najgorsze kurestwo — powtarza zachrypniętym głosem. — Nie ma łożenia po dziurach bez zakłócaczy. Jeśli kogoś na tym złapię, będzie, kurwa jego mać, czyścił kible gołymi łapami.

— Tak jest, panie sierżancie — odpowiadamy bez entuzjazmu.

Ktoś mówi, że na południu Remarku żyją podobno dzicy ludzie, którzy zjadają swoich wrogów. Ktoś inny dodaje, że czytał o przeklętych miejscach, które tubylcy omijają w panice albo oddają im cześć. Można zabłądzić na pustyni i nigdy nie wrócić do domu. Mam tego dość, więc żeby nie słuchać pieprzenia, zakładam na uszy słuchawki.

Konwój utyka w strasznym korku, musimy się zatrzymać. Zeskakujemy z samochodu kilka kilometrów przed przejściem granicznym. Kuchnia wydaje nam gorącą zupę, a w oddali, za kępami drzew, widzę prawdziwe miasto z namiotów, oświetlone gęsto latarniami. Obóz przejściowy dla uchodźców, którzy mieli szczęście i przedostali się do Rammy.

Niektórzy z nich mieszkają tutaj już pięć lat. Na początku pomagała im Nina, matka mojego Tomasa. Nienawidzę jej za to, że odebrała mi syna, chociaż nie jestem bez winy. Spieprzyłem to perfekcyjnie. Nina była wolontariuszką w Fundacji Pokój i współczułem jej szczerze tej pracy. Ale Tiron ma jedną zaletę: przyjemny klimat, w środku zimy kilka stopni ciepła. Kiedy wyjeżdżałem ze stolicy, żegnał mnie mróz i brudny śnieg na chodnikach.

Czwartek, 7 stycznia, godz. 6.05

Okolice Jonu, prowincja Qumran, północny Remark

Przespaliśmy kilka godzin na granicy, a teraz stoimy na przedmieściach Jonu i znów czekamy jak idioci. Sierżant mówi, że saperzy od godziny wydłubują coś z wiaduktu przed nami. Poza tym system dowodzenia naszej armii nie jest doskonały. Oznacza to prawdziwy chaos, kiedy sprawy mają się inaczej, niż życzyłyby sobie dowództwo.

Wściekamy się, że nie użyto samolotów do naszego transportu. Generał Dominik Salte, głównodowodzący SSARR, ogłosił jednak Doktrynę Widoczności i wprowadza ją z zapamiętaniem w życie. Mamy być jak najbliższej cywilów, a nasz widok ma wywoływać panikę wśród wrogów. Samoloty zabierają czwarty kontyngent do domu, a w konwojach przez okupowany kraj jedzie piąta zmiana. Dzięki temu wydaje się, że jest nas więcej.

Konwój ciągnie się przez wiele kilometrów i zajmuje połowę dziurawej ekspresówki. Ciemny wąż składa się z ciężarówek, terenowych skorpionów, lekkich transporterów i działek Cormax wiezionych na długich naczepach. Samochodów zaopatrzenia i cystern z paliwem, które przemalowano na zielono, nawet nie liczę. Gdzieś widać też furgonetki firmy ochroniarskiej TigerClaw i pick-upy ze specjalistycznym sprzętem.

Ruch lokalny odbywa się drugą stroną drogi. Remarczycy jeżdżą starymi samochodami, które noszą często ślady wojny. Niektóre mają potłuczone reflektory i wgniecioną karoserię. Wzdłuż konwoju krążą patrole ochrony, nie dopuszczając do nas gapiów, którzy zbiegli się z okolicznych wiosek. Przez bułe pola i pastwiska ciągną grupki dzieci, licząc na coś do jedzenia. Są ubrane w łachmany, wiele z nich utyka, inne nie mają dłoni albo całego ramienia.

— Takie okaleczenia powodują wiciowce — odzywa się kapral Lotty. — Dzieciaki dłubią w ruinach, żeby znaleźć coś do żarcia, albo chodzą do lasu po drewno. Miny są wszędzie,

Gottanie siali tu kleszczami jak głupi. Do tej pory pełno tego ścierwa w okolicznych lasach.

— Przecież mamy zakłócacze i pułapki, możemy je rozstawić — mówi Gaus.

— Kto będzie marnował na nich taki sprzęt? — Klepię go w plecy. — Zastanów się, chłopie, czy nasz rząd wyda miliony, żeby mali Remarczycy mieli wszystkie rączki.

— No to, kurwa, po co tam jedziemy?

— Bo dostaliśmy rozkaz — odpowiada spokojnie sierżant. — Jak nie zaprowadzimy porządku w Remarku, to dalej będą zalewać nas uchodźcy. Remarczycy uwielbiają się wyrzynać, więc ci bardziej przedsiębiorczy uciekają. Chcecie mieć u siebie tłumy tych brudasów?!

Jego pytanie wisi w powietrzu. Odzywają się gwizdki dowódców i ci, którzy zdążyli wysiąść z ciężarówek, pospiesznie wskakują do środka. Krzątanina trwa zaledwie kilka minut i ruszamy dalej, na południowy zachód. Część konwoju zostanie w Portsailu, aby wzmocnić Siły Stabilizacyjne w stolicy Remarku. Ale większość żołnierzy i sprzętu, w tym moja kompania, pojedzie dalej na południe, do miasta Harman.

Dwa bataliony piechoty, pierwszy i trzeci, które stacjonują w bazie Erde, na wschodzie Harmanu, poniosły do tej pory największe straty i były najczęściej uzupełniane. Nie napawa to optymizmem. Kilku chłopaków po otrzymaniu przydziału przeżyło małe załamanie nerwowe. Jednak większość jest w bojowych nastrojach, śpiewają piosenki albo grają w strzelanki na komunikatorach. Potem przechwalają się przed sobą, ile headshotów zaliczyli i jaki mają zajebisty level. To jakaś paranoja, myślę sennie. Od przekroczenia granicy czuję pustkę w głowie, jakbym łyknął leki uspokajające.

Na szczęście im dalej na południe, tym cieplej. O tej porze roku w Harmanie jest co najmniej piętnaście stopni powyżej zera. A ja tak bardzo nienawidzę zimy, że wolę znosić upały i gorący wiatr pustyni, niż czuć, jak przemarza mi dupsko.

Sierżant Gola, który stacjonował na południu, nie podziela mojego zachwytu. Powtarza też, że najwięcej tam rebeliantów i – ogólnie – jest raczej przesrane. Widziałem w Syrakus filmy instruktażowe o partyzantach Garcii i hadejczykach samobójcach, więc domyślam się, o czym mówi.

Niedziela, 10 stycznia, godz. 8.00

Harman, prowincja Saladh, południowy Remark

Stoimy na baczność na placu apelowym. Baza Erde jest ogromna. To właściwie kawałek przedmieścia, które zostało otoczone murem, umocnione i przerobione na siedzibę naszych wojsk. Zajmujemy starą fabrykę ciągników rolniczych, kilkanaście domów, dawną szkołę zawodową i salon wystawowy, w którym mieści się sztab. Dowódca Pierwszego Pułku Piechoty – siwy, ale potężny w barach, spalony słońcem pułkownik Herbst – przemawia donośnym głosem. Za nim stoją wszyscy oficerowie, dowódcy trzech batalionów, szefowie kompanii oraz specjalistycznych pododdziałów. Sztandar pułku powiewa na maszcie. Miecze skrzyżowane na granacie i coś w rodzaju srającego orła.

Pułkownik Herbst wita nas w imieniu dowództwa Sił Stabilizacyjnych Armii Republiki Rammy, dziękuje za patriotyczną postawę i życzy sukcesów w kraju naszego sąsiada. Mówi o lokalnej społeczności, która z pewnością docenia nasze starania, oraz o wielkiej odpowiedzialności za pokojowy rozwój Remarku. Ciekawe, kto mu pisał te pierdoły?

Na koniec przechodzi do naszego wroga, czyli pospolitych bandytów i partyzantów Evana Garcii – głównie hadejczyków i arejczyków, walczących o wycofanie rammańskich wojsk i utworzenie niezależnej Rady Kapłanów.

— Żołnierze! Jestem przekonany, że jadąc tutaj, widzieliście ogrom szkód, jakie wojna z Gottanami wyrządziła temu krajowi. Bezwzględny wróg, kierowany przez komunistyczną dyktaturę, zaatakował słabe i skłócone wewnętrznie Księstwo Remarku, aby zawłaszczyć jego